

JOHN GREEN

19 RAZY
Katherine



Mojej żonie, Sarah Urist Green, anagramem:

*Her great Russian
Grin has treasure –
A great risen rush.
She is a rut-ranger;
Anguish arrester;
Sister; haranguer;
Treasure-sharing
Heart-reassuring
Signature Sharer
Easing rare hurts*.*

*Ale przyjemność nie polega na posiadaniu drugiej osoby na własność. Przyjemność polega na tym. Mieć przy sobie, w tym samym pokoju, drugiego zawodnika**.*

Philip Roth, *Ludzka skaza*

* I tu tłumacz bezradnie rozkłada ręce. Język angielski jest rajem dla szaradzystów, w przeciwieństwie do języka polskiego. Ale zapraszamy czytelników do intelektualnego wysiłku. Może ktoś podejmie wyzwanie? (przyp. tłum.) (Przypisy, jeśli nie zostały oznaczone inaczej, pochodzą od autora).

** W przekładzie Jolanty Kozak (przyp. tłum.).

(pierwszy)

Rankiem następnego dnia po ukończeniu szkoły średniej, kiedy to rzuciła go dziewiętnasta z kolei dziewczyna o imieniu Katherine, Colin Singleton, niegdyś uznawany za cudowne dziecko, postanowił wziąć kąpiel. Zdecydowanie wolał brać kąpiel niż prysznic, gdyż jedną z jego podstawowych zasad życiowych było nigdy nie robić na stojąco tego, co można zrobić na leżąco. Gdy tylko zaczęła lecieć gorąca woda, Colin wszedł do wanny, usiadł i z dziwnie obojętną miną przyglądał się, jak poziom wody się podnosi, stopniowo zakrywając jego skrzyżowane nogi. Zarejestrował, choć bez szczególnego przejęcia, że jest już zdecydowanie za wysoki na tę wannę – wyglądał w niej niczym dorosła osoba udająca małe dziecko.

Woda zalewała jego szczupły, choć niezbyt umięśniony brzuch, a Colin myślał o Archimedesie. Jako czterolatek przeczytał książkę o tym greckim filozofie, który podczas kąpieli zauważył, że objętość bryły można zmierzyć objętością wypartej przez nią cieczy. Dokonawszy tego odkrycia, krzyknął ponoć: „Eureka!”, po czym nagi wybiegł na ulice miasta. Autor książki twierdził, że wiele doniosłych odkryć wieńczył taki właśnie moment objawienia. Colin bardzo chciał dokonać wielu doniosłych odkryć, więc kiedy mama wróciła wieczorem do domu, zapytał:

– Mamusiu, czy ja kiedyś wykrzyknę „Eureka!”?
– Kotku – odpowiedziała, biorąc go za rękę – co się stało?
– Chcę wykrzyknąć „Eureka!” – wyjaśnił takim tonem, jakim inne dziecko powiedziałoby, że marzy o Wojowniczym Żółtciu Ninja.

Mama pogładziła go wierzchem dłoni po policzku i uśmiechnęła się, nachylając się tak blisko, że wyczuł zapach kawy i kosmetyków.

– Oczywiście, maleńki. Na pewno tak będzie.

Jednak matki kłamią. Wszystkie.

Colin wziął głęboki wdech i zsunął się do wanny, zanurzając głowę. Płacząc, pomyślał, otwierając oczy, by popatrzeć przez szczypiącą od mydła wodę. Czuje się, jakbym płakał, więc chyba płacząc, ale nie mogę tego sprawdzić, ponieważ jestem pod wodą. Jednak nie płakał. O dziwo, czuł się na to zbyt przygnębiony. Zbyt mocno zraniony. Tak jakby Katherine zabrała ze sobą tę jego część, która była zdolna do płaczu.

Wyjął zatyczkę z odpływu, wstał, a następnie wytarł się i ubrał. Kiedy wyszedł z łazienki, zobaczył, że na łóżku siedzą mama i tata. Obecność obojga rodziców w jego pokoju nigdy nie była dobrym znakiem. W ciągu kilku ostatnich lat oznaczała, że:

1. Babcia/dziadek/ciocia Zuzia (której nie znałeś, i to wielka szkoda, bo możesz wierzyć nam na słowo, była wspaniałą kobietą) nie żyje.
2. Przez dziewczynę o imieniu Katherine zaniedbujesz naukę.
3. Dzieci powstają w wyniku aktu, który kiedyś wyda ci się intrygujący, ale na razie być może troszkę cię

przerazi. Poza tym ludzie czasami wykonują czynności związane z robieniem dzieci, ale tak naprawdę niemające tego na celu, jak na przykład całowanie się nie tylko po twarzy.

Nigdy nie oznaczało to, że:

4. Dziewczyna o imieniu Katherine dzwoniła, kiedy siedziałeś w wannie. Przeprasza. Nadal cię kocha, zrozumiała, że popełniła okropny błąd, i czeka na ciebie w salonie.

Mimo wszystko Colin żywił irracjonalną nadzieję, że rodzice przyszedli do jego pokoju, by przekazać mu wieści z kategorii czwartej. Zasadniczo był pesymistą, ale w kwestii wszystkich Katherine czynił wyjątek: zawsze miał nadzieję, że do niego wróci. Wezbrało w nim tak silne przekonanie, iż ją kocha, a ona kocha jego, że aż poczuł w ustach metaliczny smak adrenaliny, bo może to jeszcze nie koniec, może znów poczuje jej dłoń w swojej i usłyszy pewny, zuchwały głos, który zniżała do szeptu, by powiedzieć „Kocham cię”, szybko i cicho, tak jak zawsze. Wyznawała mu miłość, jakby ujawniała tajemnicę, i to wielkiej wagi.

Tato wstał i podszedł do niego.

– Katherine zadzwoniła na moją komórkę – powiedział. – Niepokoi się o ciebie.

Położył dłoń na ramieniu syna, po czym obaj postąpili krok do przodu i się objęli.

– Bardzo się martwimy – wyznała mama. Była drobną kobietą o kręconych brązowych włosach z pojedynczym pasmem siwizny nad czołem. – I jesteśmy zaskoczeni – dodała. – Co się stało?

– Nie wiem – cicho odrzekł Colin w ramię ojca. – Po prostu... miała mnie dosyć. Zmęczyła się. Tak powiedziała.

Wtedy mama się rozpląkała. Przez chwilę przytulali się całą trójką w gmatwaniu rąk. W końcu Colin wyplątał się z objęć rodziców i usiadł na łóżku. Czuł niepołączoną potrzebę, by natychmiast pozbyć się ich z pokoju, i miał wrażenie, że jeżeli zaraz nie wyjdą, to wybuchnie. Dosłownie. Jego wnętrze rozprysną się po ścianach, a cudowny umysł rozmaże się po kapie przykrywającej łóżko.

– Trzeba będzie znaleźć chwilę, żeby oszacować różne możliwości – powiedział tato, który doskonale potrafił szacować. – Nie chodzi mi o to, by szukać dobrej strony tej sytuacji, ale wygląda na to, że będziesz miał więcej wolnego czasu tego lata. Może zapiszesz się na letni kurs na Northwestern?

– Naprawdę muszę pobyć trochę sam, przynajmniej dzisiaj – odrzekł Colin, starając się zachować spokój, żeby rodzice wyszli, zanim jednak eksploduje. – Może szacowaniem zajmiemy się jutro?

– Oczywiście, kotku – zgodziła się mama. – Siedzimy w domu cały dzień. Przyjdź do nas, kiedy będziesz chciał. Kochamy cię. Jesteś zupełnie wyjątkowym człowiekiem, Colinie, nie wolno ci myśleć inaczej przez tę dziewczynę, bo jesteś najwspanialszym, najbystrzejszym chłopakiem...

I właśnie wtedy ten zupełnie wyjątkowy, najwspanialszy i najbystrzejszy chłopak rzucił się do łazienki i porzygał się jak kot. W sumie było to coś w rodzaju eksplozji.

– Synku! – przeraziła się mama.

– Chcę tylko zostać sam – powtórzył z łazienki.
– Proszę.

Gdy wrócił do pokoju, rodziców już nie było.

Przez następnych czternaście godzin, nie robiąc przerw na jedzenie, picie czy ponowne wymiotowanie, Colin przeglądał księgę tegorocznych absolwentów, którą dostał zaledwie cztery dni wcześniej. Prócz typowych dla takiej publikacji banialuk zawierała wpisy od siedemdziesięciu dwóch kolegów i koleżanek. Dwanaście z nich było zwykłymi autografami, pięćdziesiąt sześć osób podziwiała jego inteligencję, dwadzieścia pięć deklarowało, że chciałoby go poznać lepiej, jedenaście, że fajnie było go mieć na zajęciach z angielskiego, siedem użyło zwrotu „zwieracz żrenicy”^{*}, a siedemnaście udzielało oszałamiającej rady: „Zachowaj luz!”. Colin Singleton mógł zachować luz mniej więcej tak jak płetwal błękitny mógł zachować smukłą sylwetkę czy Bangladesz bogactwo. Prawdopodobnie tych siedemnaście osób żartowało. Zastanawiało go też, jakim cudem dwudziestu pięciu uczniów z klasy, z większością których chodził do jednej szkoły przez dwanaście lat, chciało poznać go lepiej? Jakby do tej pory nie mieli takiej możliwości.

Ale przede wszystkim przez tych czternaście godzin odczytywał wciąż na nowo wpis od Katherine XIX:

Col, za wszystkie miejsca, w których byliśmy. I w których będziemy. Szepczę bez ustanku: „Kocham Cię”.

K-a-t-h-e-r-i-n-e

W końcu uznał, że dla kogoś w jego stanie łóżko jest zbyt wygodne, więc zszedł z niego i położył się na plecach na podłodze, prostując nogi. Układał anagramy do

^{*} Więcej na ten temat później.

„Kocham cię”, aż trafił na taki, który mu się spodobał: „Cicho, męka”. A potem leżał w cichej męce i powtarzał w myślach wpis, który znał na pamięć. Chciało mu się płakać, ale zamiast tego czuł tylko tępy ból pod splotem słonecznym. Płacz coś dodaje: płacz to ty plus łzy. Natomiast to, co przeżywał Colin, było jakimś koszmarnym przeciwieństwem płaczu. To było ty minus coś. Bezustannie rozmyślał nad tym jednym słowem „kocham”, szarpany palącym bólem pod żebrami.

Bolało jak najgorsze ciągi, jakie kiedykolwiek zebrał. A zebrał ich całkiem sporo.

(drugi)

Bolało tak mniej więcej do dziesiątej wieczorem, kiedy to korpulentny, kędzierzawy młodzieniec libańskiego pochodzenia wpadł bez pukania do jego pokoju. Colin uniósł głowę i spojrzał na gościa ponuro.

– Co to, kurde, ma być? – spytał Hassan podniesionym głosem.

– Rzuciła mnie – wyjaśnił Colin.

– To wiem. Słuchaj, *sitzpinkler*^{*}, naprawdę marzę o tym, żeby cię pocieszyć, ale mógłbym teraz ugasić pożar domu zawartością mojego pęcherza. – Przemknął koło łóżka i otworzył drzwi do łazienki. – Boże drogi, Singleton, coś ty jadł? Śmierdzi jak... AAAA! RZYGI! RZYGI! FUJ!

Colin pomyślał: Racja, toaleta, zapomniałem spuścić wodę.

– Wybacz, jeśli nie trafiłem – powiedział Hassan po powrocie. Usiadł na krawędzi łóżka i tracił stopą bezwładne ciało Colina. – Musiałem zatykać nos obiema rękami, więc Magiczna Różdżka dyndała swobodnie. Prawdziwe wahadło mocy! – Colin się jednak nie zaśmiał. – Boże, musisz być w fatalnej formie, ponieważ a) dowcipy o Magicznej

* Niemieckie slangowe określenie ofermy, dosłownie oznaczające męczyznę, który sika na siedząco. Ach, ci zwariowani Niemcy – mają nazwy na wszystko.

Róždźce są moją specjalnością, b) kto zapomina spłukać własne wymiociny?

– Chcę wypełznąć w jakąś dziurę i umrzeć – beznamietnie wyznał Colin wprost w kremowy dywan.

– O kurde! – skomentował Hassan, powoli wypuszczając powietrze.

– Pragnąłem w życiu tylko tego, by Katherine mnie kochała i bym mógł osiągnąć coś znaczącego. No i popatrz. No popatrz tylko...

– Patrzę. I zapewniam cię, *kafir*^{*}, że nie podoba mi się ten widok. I zapach też, jeśli mogę dodać. – Hassan położył się na łóżku, pozwalając przyjacielowi jeszcze przez chwilę rozpaczać.

– Zupełna porażka. A jeżeli już nic się nie zmieni? Jeżeli za dziesięć lat będę śleczął w jakiejś pierdzielonej klitce nad księgą przychodów i uczył się na pamięć wyników baseballu, łudząc się, że „moja” drużyna skopie innym tyłki, i nie będę miał Katherine ani nigdy nie zrobię nic znaczącego, i zostanę kompletnym zerem?

Hassan usiadł, kładąc dłonie na kolanach.

– Widzisz, dlatego musisz uwierzyć w Boga. Ponieważ ja nawet nie liczę na to, że będę miał własną klitkę, a jestem szczęśliwy jak świnia w kupie gnoju.

Colin westchnął, bo choć Hassan nie był wcale tak bardzo religijny, często w żartach usiłował go nawracać.

– Jasne. Wiara w Boga. Superpomysł! Chciałbym też wierzyć, że polecę w przestrzeń kosmiczną na grzbiecie gigantycznego pingwina i bzyknę Katherine XIX w stanie nieważkości.

* *Kafir* to nieuprzejme arabskie słowo oznaczające kogoś niebędącego muzułmaninem, zazwyczaj tłumaczone jako „niewierny”.

– Singleton, nie spotkałem jeszcze człowieka, któremu wiara w Boga byłaby bardziej potrzebna niż tobie.

– A tobie potrzebne są studia – odparował Colin. Hassan mruknął coś pod nosem. Skończył liceum wcześniej niż kumpel, ale wziął sobie rok wolnego, mimo że przyjęto go na Uniwersytet Loyola w Chicago. Ponieważ znów nie zapisał się na zajęcia w semestrze jesiennym, zanosilo się, że rok wolnego wkrótce przejdzie w dwa lata.

– Nie zmieniam tematu – zaprotestował. – To nie ja jestem tak zdołowany, że nie mogę dźwignąć się z podłogi ani spłukać własnych rzygów, koleś. A wiesz dlaczego? Bo Bóg jest ze mną.

– Przestań mnie dręczyć. – Wysiłki kolegi nadal nie rozbawiły Colina.

Hassan zerwał się z łóżka, usiadł okrakiem na plecach przyjaciela i przytrzymał go za ramiona.

– Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem! – zawołał. – Powtarzaj za mną, *sitzpinkler! La ilaha illa-llah!** – Colin zaczął się w końcu śmiać, z trudem łapiąc oddech pod ciężarem Hassana, który też wybuchnął śmiechem. – Próbuje ocalić twój chudy tyłek przed piekłem!

– Złaż ze mnie, bo inaczej znajdę się tam dość prędko – wysapał Colin.

Hassan wstał i nagle zapytał poważnie:

– No więc na czym dokładnie polega problem?

– Problem polega dokładnie na tym, że mnie rzuciła. Że jestem samotny. O Boże, znów jestem samotny! A poza tym przegrałem życie, gdybyś nie zauważył. Jestem skończony. Jestem tylko „byłym”! Byłym chłopakiem Katherine XIX.

* Islamskie wyznanie wiary, transliterowane z arabskiego: „Nie ma Boga prócz Allaha”.

Byłem cudownym dzieckiem. Byłem potencjalnym geniuszem. Aktualnym bezwartościowym zerem. – Jak wiele razy wyjaśniał Hassanowi, istnieje ogromna różnica między określeniami „cudowne dziecko” i „geniusz”.

Cudowne dzieci bardzo szybko uczą się tego, co inni już wiedzą, geniusze zaś odkrywają to, czego nikt inny jeszcze nie wie. Cudowne dzieci kuja, geniusze tworzą. Znakomita większość cudownych dzieci wcale nie wyraża na cudownych dorosłych. Niestety Colin miał niemalże absolutną pewność, że on sam należy do tej nieszczęsnej większości.

Hassan usiadł na łóżku i pogładził się po zarośniętym szczecina drugim podbródkiem.

– Czy prawdziwym problemem jest Katherine, czy twój geniusz?

– Tak bardzo ją kocham – odrzekł Colin. Ale tak naprawdę w jego umyśle oba problemy były ze sobą ściśle powiązane. Chodziło o to, że ten wyjątkowy, wspaniały, bystry chłopak... Cóż, wcale taki nie był. Czuł, że nie ma żadnego znaczenia jako człowiek. Colin Singleton, słynny cudowny dzieciak, słynny weteran związków z Katherine’ami, słynny nerd i *sitzpinkler*, nie miał znaczenia ani dla Katherine XIX, ani dla świata. Zupełnie nagle nie był niczym chłopakiem i niczym geniuszem. A to – by użyć trudnego słowa, którego można się spodziewać po nieprzeciętnie inteligentnej osobie – było naprawdę słabe.

– Ponieważ kwestia geniuszu – kontynuował Hassan, jakby Colin wcale nie wyznał miłości – się nie liczy. Chodzi ci tylko o sławę.

– Wcale nie. Chcę mieć jakieś z n a c z e n i e – podkreślił Colin.

– Jasne. Jak powiedziałem, pragniesz sławy. Sława równa się dzisiaj popularności. A nie będziesz następną amerykańską top model, na sto procent. Chcesz więc być następnym amerykańskim top geniuszem, a teraz po prostu – nie odbieraj tego zbyt osobiście – biadolisz, że to się jeszcze nie stało.

– Nie pomagasz – mruknął Colin w dywan. Po chwili uniósł twarz i spojrzał na przyjaciela.

– Wstawaj – zarządził Hassan, wyciągając do niego rękę. Colin chwycił ją, podciągnął się, a potem próbował puścić, ale przyjaciel tylko wzmocnił uścisk. – *Kafir*, masz bardzo skomplikowany problem, który można bardzo łatwo rozwiązać.

(trzeci)

– Wyruszamy w podróż samochodem – oznajmił Colin. U jego stóp stała wypchana torba i leżał plecak wypakowany książkami. Chłopcy i rodzice Colina siedzieli na przeciwko siebie na dwóch identycznych czarnych skórzanych sofach.

Mama rytmicznie kręciła głową niczym zdegestowany metronom.

– Ale dokąd? – zapytała. – I dla czego?

– Bez urazy, proszę pani – odrzekł Hassan, kładąc stopy na stoliku do kawy (czego nie wolno było robić) – ale umyka pani sedno. Nie istnieje żadne „dokąd” ani „dlaczego”.

– Pomyśl o tym wszystkim, co mógłbyś robić w wakacje, Colinie. Mógłbyś pouczyć się sanskrytu – odezwał się tato. – Wiem, że bardzo ci na tym zależało*. Naprawdę będziesz szczęśliwy, jeżdżąc samochodem bez celu? To do ciebie niepodobne. Zachowujesz się, jakbyś skapitulował.

– Przed czym, tato?

Tato się zastanowił. Zawsze się zastanawiał po usłyszeniu pytania, a następnie formułował wypowiedź pełnymi

* Choć to żalodne, tato mówił prawdę. Colin rzeczywiście chciał się uczyć sanskrytu. To coś w rodzaju Mount Everestu martwych języków.

zdaniami bez żadnych zająknięć czy powtórzeń – jakby nauczył się jej na pamięć.

– Z przykrością to mówię, Colinie, ale jeśli chcesz się dalej rozwijać intelektualnie, musisz pracować znacznie ciężiej niż do tej pory. Inaczej możesz zmarnować swój potencjał.

– W zasadzie – odparł Colin – wydaje mi się, że już go zmarnowałem.

Być może to dlatego, że Colin nigdy w życiu nie rozczarował swoich rodziców: nie pił, nie brał narkotyków, nie palił papierosów, nie malował oczu czarną kredką, nie przeziadywał po nocach, nie dostawał złych ocen, nie przekuł sobie języka ani nie wytatuował na plecach: „KATHERINE FOREVER”. Może czuli się winni, że go w jakimś sensie zawiedli i to przez nich znalazł się w opłakanym położeniu? A może chcieli spędzić kilka tygodni sami, żeby na nowo rozniecić ogień miłości? W każdym razie pięć minut po przyznaniu się do zmarnowania potencjału Colin Singleton siedział za kierownicą swojego długaśnego szarego oldsmobile’a znanego jako Katafalk Szatana.

– Dobra, teraz tylko musimy podjechać do mnie – oznajmił Hassan – wziąć trochę ciuchów i jakimś cudem przekonać moich rodziców, żeby puścili mnie w podróż po Ameryce.

– Możesz powiedzieć, że znalazłeś pracę, na przykład na jakimś obozie czy coś w tym rodzaju – podpowiedział Colin.

– Jasne, tylko że nie zamierzam okłamywać mamy, bo tylko skończone bydlę łże własnej matce.

– Hm.

– No, ale ktoś inny mógłby ją okłamać. Jakoś bym to przeżył.

– Dobra – zgodził się Colin.

Kilka minut później zaparkowali na drugiego w dzielnicy Ravenswood w Chicago i wyskoczyli z auta. Colin wpadł do domu tuż za przyjacielem. Mama Hassana drzemała w fotelu w starannie urządzonym salonie.

– Hej, mamol – zawołał chłopak. – Pobudka!

Przebudziła się i z uśmiechem przywitała chłopców po arabsku. Colin zaczął mówić w tym samym języku:

– Rzuciła mnie dziewczyna, jestem bardzo przygnębiony, więc razem z Hassanem wybieramy się na... hm... takie wakacje, kiedy zwiedza się świat samochodem. Nie znam tego słowa po arabsku.

Pani Harbish pokręciła głową i wydeła usta.

– A nie mówiłam, żebyś nie zadawał się z dziewczynami? – powiedziała po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. – Hassan jest grzecznym chłopcem, nie zajmuje się „randkowaniem”. I popatrz, jaki jest szczęśliwy. Powinieneś brać z niego przykład.

– Tego właśnie będzie mnie uczył podczas wyjazdu – zapewnił ją Colin, choć trudno byłoby bardziej minąć się z prawdą. Hassan wtoczył się z powrotem do pokoju, taszcząc częściowo zapiętą torbę, z której wysypywały się ubrania.

– *Ohiboke*^{*}, mamol – powiedział, schylając się, żeby pocałować ją w policzek.

Wtem do salonu wszedł ubrany w piżamę pan Harbish.

– Nigdzie nie pojedziesz! – oświadczył po angielsku.

– Tato! Muszę. Spójrz na niego. Jest zupełnie zdołowany. – Colin zerknął na pana Harbisha, starając się wyglądać na możliwie najbardziej zdołowanego. – Pojedzie ze mną albo beze mnie, a tak przynajmniej będzie miał kogoś, kto się nim zaopiekuje.

^{*} „Kocham cię” po arabsku.

– Colin to dobry chłopak – zapewniła męża pani Harbish.
– Będę dzwonił codziennie – dodał Hassan. – Nie wyjeździemy wcale na długo. Wrócimy, gdy tylko mu się poprawi.

Colin, improwizując, wpadł na pomysł.

– Chcę załatwić Hassanowi pracę – zwrócił się do pana Harbisha. – Obaj musimy się nauczyć, że naprawdę warto ciężko pracować.

Pan Harbish przyjął jego słowa pomrukiem aprobaty, po czym zwrócił się do syna:

– Przede wszystkim musisz się nauczyć, że nie warto oglądać tej okropnej Sędzi Judy. Jeżeli przed upływem tygodnia zadzwonisz z informacją, że masz robotę, to możesz sobie zostać, jak długo zechcesz i gdzie zechcesz.

Hassan jakby nie zauważył przytyku.

– Dziękuję, tato – wymamrotał potulnie.

Ucałował mamę w oba policzki i pospieszył do drzwi.

– Co za drań! – wybuchnął, gdy już znalazł się bezpiecznie w Katafalku. – Może oskarżać mnie o lenistwo, ale ubliżać najlepszej w Ameryce telewizyjnej sędzi, to już totalne przegięcie!

Hassan zapadł w sen koło pierwszej w nocy, a Colin, rozbudzony dzięki kupionej na stacji kawie z dużą ilością śmietanki oraz upojony poczuciem samotności na autostradzie nocą, pędził na południe przez Indianapolis drogą I-65. Noc była ciepła jak na początek czerwca, a ponieważ w Katafalku Szatana w tym tysiącleciu nie działała klimatyzacja, Colin uchylił okna. Cudowne w prowadzeniu samochodu było to, że na tyle pochłaniało uwagę – auto zaparkowane na poboczu, może to gliny; zwolnij; trzeba wyprzedzić tego tira; włącz migacz; spójrz w tylne

lusterko; sprawdź martwe pole i, dobrze, na lewy pas – że nie czuł palącej dziury w brzuchu.

By zająć czymś myśli, przypominał sobie inne dziury w innych wnętrznościach. Pomyślał o arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie zamordowanym w roku 1914. Spoglądając na krwawiącą ranę w swojej piersi, arcyksiążę powiedział:

– To drobiazg.

Mylił się. Bez wątpienia arcyksiążę Franciszek Ferdynand miał znaczenie dla świata, choć nie był ani cudownym dzieckiem, ani geniuszem: zamach na niego dał początek pierwszej wojnie światowej, więc następstwem jego śmierci było 8 528 831 kolejnych.

Colin tęsknił za Katherine. Tęsknota rozbudzała go bardziej niż kawa, więc kiedy Hassan godzinę wcześniej zaproponował, że go zmieni za kierownicą, Colin się nie zgodził. Prowadzenie samochodu pomagało mu – zwolnić do stu dziesięciu; Boże, ależ mi wali serce, nie znoszę smaku kawy; ale jestem nakręcony; wyprzedzić ciężarówkę; dobrze; na prawy pas; a teraz tylko moje reflektory przeciwko ciemności. Dzięki temu samotność nie rozdzierała go na strzępy. Prowadzenie auta było czymś w rodzaju myślenia – jedynym, jaki mógł znieść. Ale mimo to tuż poza zasięgiem przednich świateł ciągle majaczyła myśl: zostałem porzucony. Przez dziewczynę o imieniu Katherine. Po raz dziewiętnasty.

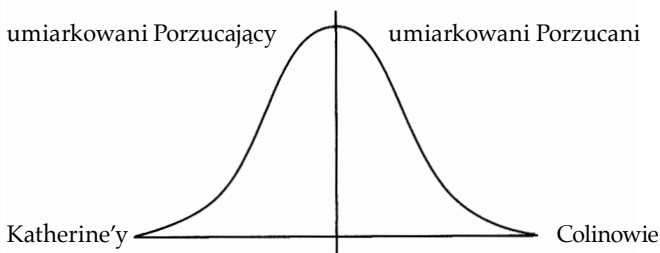
Jeśli chodzi o dziewczyny (a w wypadku Colina często o nie chodziło), każdy ma swój typ. Jego typu nie określały cechy fizyczne, lecz lingwistyczne: lubił imię Katherine. Nie Katy, Kat, Kitty czy Cathy, Rynn, Trina, Kay, Kate lub, Boże broń, Catherine. K-A-T-H-E-R-I-N-E. Do tej pory chodził

z dziewiętnastoma dziewczynami. Wszystkie miały na imię Katherine. I wszystkie – co do jednej – go porzuciły.

Colin wierzył, że na świecie istnieją dwa rodzaje ludzi: Porzucający i Porzucani. Wiele osób uważa się za reprezentantów obu kategorii naraz, ale mylą się: człowiek ma predyspozycje albo do jednego losu, albo do drugiego. Porzucający nie zawsze muszą łamać serca, a Porzucani nie zawsze muszą mieć serca złamane, lecz wszystkich charakteryzuje inklinacja w tę lub w tamtą stronę*.

Może Colin powinien był już przywyknąć do rytmu uczuciowych wzlotów i upadków? Przecież umawianie się z kimś kończy się zawsze tak samo, czyli kiepsko. Jeśli się nad tym zastanowić, co Colin robił często, wszystkie związki kończą się (1) zerwaniem, (2) rozwodem albo (3) śmiercią. Lecz Katherine XIX była inna – czy może inna się wydawała. Kochała go, a on żarliwie odwzajemniał jej miłość. I nadal tak było – odkrył, że jadąc teraz samochodem, cały czas powtarza w myślach: „Kocham cię, Katherine”. To imię brzmiało inaczej, gdy odnosiło się do niej. Przystawało być tylko imieniem, na punkcie którego od

* Graficzne przedstawienie tej koncepcji może pomóc ją zrozumieć. Colin wyobrażał sobie dychotomię Porzucający/Porzucany jako krzywą Gaussa. Większość ludzi plasuje się gdzieś pośrodku, np. są albo umiarkowanymi Porzucającymi, albo umiarkowanymi Porzucanymi. Na obu biegunach znajdują się Katherine’y i Colinowie.



dawna miał obsesję, a stawało się słowem opisującym wyłącznie tę jedyną, słowem pachnącym bzem, określającym błękit jej oczu i długość rzęs.

Na tylnym siedzeniu Hassan sapał i powarkiwał, jakby śnił, że jest owczarkiem niemieckim. Wiatr wpadał przez uchylone okna, a Colin wciąż dumał o Porzucających, Porzucanych i o arcyksięciu. Czuł nieustające palenie w brzuchu. To jest dziecinne i żalosne, myślał. Jesteś żenujący. Daj sobie spokój, daj sobie spokój, daj sobie spokój. Ale w sumie nie do końca wiedział, co oznacza „to”.

KATHERINE I: POCZĄTEK (POCZĄTKU)

Rodzice uważali go za zupełnie zwykłe dziecko aż do pewnego czerwcowego poranka. Colin, który miał wówczas dwadzieścia pięć miesięcy, siedział w wysokim krzeselku, jedząc śniadanie nieokreślonego warzywnego pochodzenia, a jego ojciec po drugiej stronie małego kuchennego stołu czytał „Chicago Tribune”. Małec był chudy jak na swój wiek, ale wysoki, i miał wielką szopę brązowych loków, które otaczały jego głowę z isticie einsteinowską nieprzewidywalnością.

- „Wydrapana grahama” – powiedział, przełknąwszy kęs.
- Nie chcę zielonego – dodał, mając na myśli swój posiłek.
- Co mówisz, kolego?
- „Wydrapana grahama”. Poproszę frytki, dziękuję*.

Tato odwrócił gazetę i spojrzał na nagłówek na frontowej stronie. To było pierwsze wspomnienie Colina: ojciec

* Jak każda sprytna małpka Colin dysponował bogatym słownictwem i ubogą ortografią. Nie wiedział, że Graham pisany wielką literą to imię, a „wydra” i „pana” to osobne słowa. Wybaczmy mu. Miał tylko dwa lata.

powoli opuszczający gazetę i uśmiechający się do niego. Oczy miał okrągłe ze zdumienia i radości, a uśmiech promienny.

– CINDY! NASZ SYN CZYTA GAZETĘ! – zawołał.

Rodzice Colina należeli do tych ludzi, którzy naprawdę, ale to naprawdę lubią czytać. Mama uczyła francuskiego w prestiżowej i drogiej szkole Kalman w centrum, a tata był profesorem socjologii na Uniwersytecie Northwestern, na północ od miasta. Zatem po „Wydrze pana Grahama” rodzice zaczęli z Colinem czytać wszędzie i zawsze – głównie po angielsku, ale czasami też z francuskich książeczek z obrazkami.

Cztery miesiące później zapisali go do przedszkola dla wybitnie uzdolnionych dzieci. Niestety przedszkole oznajmiło, że chłopiec reprezentuje zbyt wysoki poziom, a poza tym nie przyjmują maluchów nieprzyuczonych do nocnika. Skierowali Colina do psychologa na Uniwersytecie Chicagowskim.

I tak cudowne dziecko, nie zawsze powstrzymujące mocz, wylądowało w małym, pozbawionym okien gabinecie na South Side na rozmowie z panią profesor w rogowych okularach. Pani kazała mu znajdować schematy w ciągach liczb i liter oraz przestawiać wielokąty. Pytała, który obrazek nie pasuje do reszty. Zadawała nieskończenie wiele cudownych pytań i Colin ją za to uwielbiał. Do tej pory większość pytań dotyczyła tego, czy się zsikał w majtki i czy mógłby łaskawie zjeść jeszcze trochę tych nieszczęsnych warzyw.

Po godzinny przesłuchaniu pani profesor oznajmiła:

– Chciałabym ci podziękować za niezwykłą cierpliwość, Colinie. Jesteś bardzo wyjątkowym dzieckiem.

„Jesteś bardzo wyjątkowym dzieckiem”. Colin miał często słyszeć to zdanie, a mimo to jakimś sposobem nigdy nie miał go dość.

Pani w rogowych okularach zaprosiła do gabinetu mamę Colina. Opowiadała jej o tym, że syn jest błyskotliwy i wyjątkowy, a Colin bawił się drewnianymi klockami z literami alfabetu. Wbił sobie drzazgę, przerabiając KULA na LUKA – był to pierwszy anagram, jaki pamiętał.

Pani profesor wyjaśniła mamie, że tak uzdolnionego chłopca trzeba wspierać, ale nie wywierać na niego nadmiernej presji, i ostrzegła:

– Proszę nie mieć wygórowanych oczekiwań. Dzieci takie jak Colin bardzo szybko przetwarzają informacje. Potrafią w niezwykle sposób koncentrować się na zadaniach. Ale Colin ma takie same szanse na zdobycie Nagrody Nobla jak każde inne przeciętnie inteligentne dziecko.

Tego wieczoru ojciec podarował mu nową książkę: *Brakujący element* Shela Silversteina. Colin siedział na kanapie obok taty i małymi rączkami przerzucał wielkie strony, czytając szybko i przerywając tylko po to, by zapytać, czy „może” oznacza to samo co „morze”. Kiedy skończył, zdecydowanym gestem zamknął książeczkę.

– Podobała ci się? – zapytał tato.

– Tak – potwierdził chłopiec. Lubił książki, ponieważ uwielbiał sam akt czytania, magię przemieniającą linie na papierze w słowa w jego głowie.

– A o czym była? – dopytywał ojciec.

Colin położył książkę na kolanach taty i odpowiedział:

– Kółko zgubiło swoją część. Ta część jest w kształcie pizzy.

– W kształcie pizzy czy kawałka pizzy? – Tato z uśmiechem pogładził syna wielką dłonią po głowie.

– Masz rację, tatusiu. Kawałka pizzy. I kółko jej szuka. Znajduje dużo niepasujących części, aż w końcu trafia na swój kawałek. Ale zostawia go. I to już koniec.

– Nie czujesz się czasami jak kółko, któremu brakuje kawałka? – zadumał się ojciec.

– Tatusiu, ja nie jestem kółkiem, jestem chłopcem.

Uśmiech ojca przygasł: cudowne dziecko umiało czytać, ale nie rozumiało. Gdyby tylko Colin pojął, że brakuje mu jakiejś części, że nieumiejętność dostrzeżenia siebie w historii o kółku stanowi problem nie do naprawienia, wiedziałby, że reszta świata z czasem go dogoni. Odwołując się do innej historii, którą znał na pamięć, ale nie do końca rozumiał: gdyby tylko wiedział, że opowieść o żółwiu i zającu dotyczy czegoś więcej niż żółwia i zająca, zaoszczędziłby sobie sporo rozczarowań.

Trzy lata później poszedł do pierwszej klasy w szkole Kalman – za darmo, ponieważ jego mama tam pracowała – i był zaledwie o rok młodszy od swoich kolegów. Ojciec zmuszał go do coraz bardziej wyęźonej nauki, ale Colin nie należał do tych cudownych dzieci, które idą na studia w wieku jedenastu lat. A poza tym rodzice chcieli, by edukacja syna przebiegała w miarę normalnym trybem ze względu na, jak to ujmowali, „korzyści towarzyskie”.

Jednak życie towarzyskie Colina nigdy nie wyglądało korzystnie. Niezbyt dobrze szło mu zawieranie przyjaźni. Po prostu miał zainteresowania całkiem odmienne niż koledzy. Na przykład ulubionym zajęciem Colina podczas przerw było udawanie robota. Podchodził do Roberta

Casemana sztywnym krokiem z bezwładnie zwieszonymi ramionami i monotonnym głosem oznajmiał:

– JESTEM ROBOTEM. ODPOWIEM NA KAŻDE PYTANIE. CHCESZ WIEDZIEĆ, KTO BYŁ CZTERNASTYM PREZYDENTEM USA?

– No dobra – mówił Robert – mam pytanie: czemu jesteście takim upierdem, Krzywy Kinolu?

Mimo że imię Colina wymawiało się inaczej, ulubioną zabawą Roberta Casemana w pierwszej klasie było przezywanie go „Krzywym Kinolem”, dopóki Colin się nie rozpląkał, co następowało dość szybko, ponieważ był, jak to ujmowała mama, „wrażliwym chłopcem”. Przecież on tylko chciał się pobawić w robota. Co w tym złego?

W drugiej klasie Robert Caseman i jego ferajna trochę dojrżeli. W końcu zrozumieli, że „słowa nie ranią, za to kije i kamienie kości połamią”, więc wymyślili Ręczną Rozrywkę*. Kazali Colinowi kłaść się na ziemi (a on z jakiegoś powodu się zgadzał), po czym czterech koleśków chwyciło go za kończyny i każdy ciągnął w swoją stronę. Przypominało to rozciąganie na kole tortur, tyle że w wykonaniu siedmiolatków nie groziło śmiercią, za to było poniżające i głupie. Colin czuł się przez to, jakby nikt go nie lubił, co właściwie było prawdą. Pocięszała go jedynie myśl, że pewnego dnia będzie coś znaczył. Będzie sławny, a oni nie. Mama twierdziła, że przede wszystkim dlatego go dręcą.

* Nazwę tę, tak dla ścisłości, wymyślił Colin. Inni nazywali to ćwiczenie „rozciąganiem”, ale pewnego razu tuż przed rozpoczęciem zabawy, Colin zawołał: „Tylko nie róbcie mi Ręcznej Rozrywki!”. Określenie było tak trafne, że z miejsca się przyjęło.

– Są po prostu zazdrośni – wyjaśniała. Ale Colin wiedział lepiej. Nie byli zazdrośni, lecz zwyczajnie go nie lubili. Czasami prawda bywa bardzo prosta.

Zatem Colin i jego rodzice odczuli wielką ulgę, gdy tuż po rozpoczęciu trzeciej klasy chłopak zaistniał towarzysko, zdobywając (przelotnie) serce najładniejszej ośmiolatki w Chicago.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”

**AUTOR WŚRÓD 100 NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYCH
LUDZI NA ŚWIECIE WEDŁUG MAGAZYNU „TIME”**

Colin gustuje wyłącznie w dziewczynach o imieniu Katherine. A te zawsze go rzucają. Stało się tak już dziewiętnaście razy... Uwielbiający anagramy, zmęczony życiem chłopak wyrusza w podróż po Ameryce ze swoim najlepszym przyjacielem Hasanem. Chłopcy mają w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów, goni ich krwiożercza dzika świnia, ale za to nie towarzyszy im ani jedna Katherine. Colin rozpoczyna pracę nad Teorematem o Zasadzie Przewidywalności Katherine, za pomocą którego ma nadzieję przepowiedzieć przyszłość każdego związku, pomścić Porzuconych tego świata i w końcu zdobyć tę Jedyną...



youngbook.pl
bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł

